

Ukraińskie dziewczyny: po prostu chcemy żyć

Alona ewakuowała z Ukrainy ósemkę dzieci, na prośbę ich rodziców - wojskowych. Ruslana uciekła z synem z okupowanego Berdiańska, Nadiia wyjechała w obawie, że zabraknie niezbędnego jej lekarstwa, a Dzvinka i Daryna miały w głowie jedną myśl: ratować dzieci.

Dziś, prawie dwa i pół roku po pamiętnym 24 lutego 2022, kiedy Rosja zaatakowała Ukrainę, wszystkie te kobiety żyją na Podbeskidziu. Zadomowily się tu, wychowują dzieci, pracują albo działają społecznie. Ciągłe szlifują znajomość języka polskiego, ale w domach mówią po ukraińsku - by ich dzieci nie zapomniały rodzimej kultury. Przychodzą też na cotygodniowe spotkania Grupy Wsparcia dla Kobiet z Ukrainy, która działa w bielskiej Fundacji Teraz Ulica przy placu Wolności. Przychodzą tu, bo chcą po prostu porozmawiać po ukraińsku, spotkać się z kimś, kto przeżył ten sam koszmar, spędzić wspólnie czas, razem coś namalować czy ugotować. Wszystkie zgodnie podkreślają, że ze strony Polaków cały czas otrzymują wiele wsparcia, pomocy i nigdy nie spotkały się z hejtem czy objawami niechęci.

DZVINKA

Dzvinka jest psychologiem i to ona zainicjowała i prowadzi Grupę Wsparcia. Również ona - wraz z mężem i trójką dzieci - uciekła z Ukrainy zaraz po wybuchu wojny. Mieszkali we Lwowie, teraz wynajmują dom w Jaworzu. Jej dzieci mają 3, 7 i 10 lat. Dzvinka bardzo dobrze mówi po polsku. - We Lwowie zostały moja matka i siostra, z którymi oczywiście mam kontakt telefoniczny. Mama, choć namawiamy ją, by do nas dołączyła, po prostu nie chce opuszczać swojego miejsca na Ziemi - opowiada. - We Lwowie sytuacja nie jest tragiczna, ale jednak żyją w państwie objętym wojną. Często słyszą alarmy przeciwlotnicze, a prąd mają tylko po kilka godzin dziennie, więc teraz latem sobie radzą, ale obawiają się zimy. My nie byliśmy na Ukrainie, odkąd z niej wyjechaliśmy, ale rodzice do nas czasem przyjeżdżają.

Dzvinka stara się obecnie o nostryfikację jej dyplomu z psychologii (nostryfikacja to procedura uznawania tytułu zawodowego uzyskanego w innym kraju) i przygotowuje się do pracy zawodowej w Polsce. - Pracowałam krótko w ramach projektu dla Ukraińców, a teraz w ramach wolontariatu prowadzę tę Grupę Wsparcia - mówi. - Zaczęłam się szkolić we Wrocławskim Instytucie Psychoterapii, ponieważ nie mogę przedłużyć kursu, który rozpoczęłam w Ukrainie. Osoby z tego szkolenia we Wrocławiu bardzo mnie wspierają. Czuję, że jestem częścią tej grupy, a nie kimś obcym. Moi sąsiedzi z Jaworza też są bardzo przyjaźni. Bardzo to wszystko doceniam.

Ponieważ jeszcze nie pracuje i przez większość czasu jest w domu z małymi dziećmi, ma niewiele okazji do rozmawiania z ludźmi. Języka polskiego uczyła się zatem od podstaw dzięki szkoleniom online prowadzonym przez organizacje pozarządowe. - Ale przez pierwszy rok właściwie nie miałam do tego głowy. Trzeba było oswoić się z nową sytuacją, poradzić sobie z własnymi emocjami, ułożyć życie rodziny na nowym miejscu. Na udział w tych kursach zdecydowałam się dopiero po kilku miesiącach - opowiada. - Na początku wynajmowaliśmy mieszkanie na krótki termin, jakbyśmy przyjechali na wczasy, ale potem szukaliśmy czegoś na stałe. Trwało to długo, bo wszystko było pozajmowane, ale wreszcie z trudem udało się znaleźć dom na wynajem w Jaworzu. Gdy jeszcze mieszkaliśmy we Lwowie, zdecydowaliśmy się na edukację domową i teraz cały czas ją kontynuujemy, więc dzieci uczą się zdalnie w szkole ukraińskiej. Tu w Polsce chodzą na różne kółka, na przykład na szachy czy akrobatykę. Córka chce też zacząć jazdę konną, bo na Ukrainie uczęszczała na takie zajęcia. Zatem na razie moje dzieci nie

mają tu kolegów, zwłaszcza że w sąsiedztwie domu w Jaworzu nie ma innych dzieci. Bawią się na razie ze sobą nawzajem i w tym wieku im to wystarcza.

Mąż Dzvinki, który jest programistą, około dwudziestu lat temu pracował w czasie studiów w Warszawie. - Mieszkał tam długo, bo około dziesięciu lat, więc znał już język i miał kontakty z Polakami. Dwa lata temu, przy załatwianiu różnych spraw, bardzo nam to pomogło, bo wiadomo, że znajomość języka otwiera różne drzwi - przyznaje Dzvinka.

Pewnego razu przyszła razem z córką na warsztaty farbowania ubrań, które odbywały się w Fundacji Teraz Ulica. - Bardzo mi się tu spodobało. Poczułam wtedy w sobie siłę, że mogłabym wspierać innych, bo wiedziałam, że wśród Ukraińców jest potrzeba integracji. Zwróciłam się do Fundacji z prośbą o utworzenie takiej grupy, tak jak zresztą do kilku innych organizacji w Bielsku-Białej. Ale tylko tutaj otworzyli nam drzwi, za co jestem bardzo wdzięczna. Możemy się tu spotykać bezpłatnie. Malujemy, gotujemy, a często robimy tak, że poszczególne dziewczyny opowiadają wszystkim o swoich pasjach i dzielą się swoimi umiejętnościami. Tematów nam nie brakuje.

Na dzień dzisiejszy Dzvinka nie zamierza wracać do Ukrainy. - Nie zanoszę na to, aby wojna wkrótce się skończyła, a infrastruktura w kraju jest zniszczona - mówi. - Tu w Jaworzu jest nam bardzo dobrze. Wydaje mi się, że filozofia życia Polaków i Ukraińców są podobne. Nawet kuchnia polska jest podobna do naszej. Jestem generalnie osobą, która docenia to co ma i nie myśli o tym, czego jej brakuje. Ale mogę powiedzieć, że gdyby nie strach o dzieci, nie wyjechalibyśmy z Ukrainy.

DARYNA

Daryna jest fotografem i pochodzi z Kijowa. Przyjechała do Polski z dwójką dzieci. Syn ma teraz 7 lat, a córka 10. Mąż został w Ukrainie, bo znajduje się na liście rezerwistów. Jest menedżerem w oddziale sprzedaży w firmie budowlanej i pracuje w Kijowie przy budowie schronów. - Gdy 24 lutego 2022 roku usłyszeliśmy rano wybuchy, mój syn był u babci w pobliskiej wiosce, a córka miała iść do szkoły. Zorientowałam się, że wybuchła wojna i pomyślałam: chcę być z dziećmi - wspomina. - Już wcześniej na wszelki wypadek mieliśmy część rzeczy przygotowanych do spakowania. Pojechalśmy na wieś w czternaście osób, między innymi z bratem i siostrą męża oraz ich dziećmi. Na początku było bezpiecznie, ale potem okazało się, że jesteśmy pięć kilometrów od Borodzianki i osiemnaście kilometrów od Buczy. Nie wiedzieliśmy dokładnie, co tam się dzieje, ale widzieliśmy dym. Na szczęście obok nas mieszkał mężczyzna z Doniecka, który wiedział, przy których wybuchach trzeba już iść do piwnicy, a przy których można normalnie funkcjonować. My nie wiedzieliśmy nic i wydawało nam się, że musimy leżeć w piwnicy przez cały dzień. Potem nie było prądu i dowiedzieliśmy się, że już nie możemy wyjechać na zachód Ukrainy, bo strzelają do samochodów. Obok nas jechały czołgi na Kijów. Były też problemy z komunikacją, tymczasem nasz tata został w Kijowie i my martwiliśmy się o niego, a on o nas. W wiosce byli Rosjanie, ale nawet udało się nam z nimi dogadać tak, że robili chleb i dla swoich żołnierzy, i dla mieszkańców wioski.

Po pewnym czasie jeden ksiądz zorganizował ewakuację - już trzecią z tego regionu - do zachodniej części Ukrainy. - Wtedy powiedziałam mężowi, że ja wyjeżdżam, bo już psychicznie nie dam rady. Bardzo się wtedy bałam - mówi Daryna. - Mąż został we Lwowie z plecaczkiem, a ja zabrałam samochód, dwójkę dzieci i pojechałam do Polski. On nie mógł wrócić do Kijowa i nie wiedzieliśmy, co z nim będzie dalej, bo jest rezerwistą i mógł z ulicy trafić do wojska. Potem udało mu się na szczęście wrócić do Kijowa. Okazało się, że nasz dom nie został zniszczony.

Daryna z dziećmi odwiedzają męża i tatę podczas ferii i wakacji. - Dwa razy spotykaliśmy się we Lwowie, a trzy razy pojechalśmy do niego do Kijowa. Ale staram się, żeby dzieci były w wiosce, bo tam jest bezpieczniej. Jeśli Rosjanie zrzucają rakiety, to raczej na większe miasta z większą infrastrukturą. Na wsi nie ma też alarmów.

Daryna dwanaście lat temu przez rok studiowała fotografię w Krakowie. - W pierwszych dniach wojny dużo znajomych z tego okresu napisało mi: Daryna, jak chcesz, to do nas przyjeżdżaj.

Zdecydowałam się zatem przyjechać do koleżanki z Bielska-Białej, która mieszka tu z rodziną. Przez te dwanaście lat miałyśmy słaby kontakt, pisałyśmy sobie głównie życzenia na urodziny, a teraz okazało się, że mamy ze sobą dużo wspólnego. Pomogła nam w wielu sprawach, między innymi z załatwieniem przedszkola dla dziecka. Mieszkaliśmy u nich przez cztery miesiące. Potem szukaliśmy jakiegoś lokum dla siebie, co nie było łatwe. Teraz wynajmujemy mieszkanie w Bielsku-Białej - opowiada.

Bardzo docenia to, że w Polsce Ukraińcy otrzymali dużą pomoc na życiowy start. - Trafiłam do takiego miejsca pomocy dziewczynom-przedsiębiorcom. Miałyśmy tam wsparcie finansowe i psychologiczne - mówi.

W bielskiej Willi Sixta, razem z pracującą tam Ukrainką Julią Ogińską, Daryna prowadzi zajęcia, podczas których czyta dzieciom bajki po ukraińsku. Na początku angażowała się w to również Dzvinka, która była autorką pomysłów na te spotkania i udzielała się również podczas czytania. - Zależy nam, żeby nasze dzieci знаły kulturę ukraińską - mówi Daryna. - Bo na przykład mój syn dorasta już w społeczeństwie polskim. Czyta po polsku, słucha polskich blogerów i tak dalej. A mnie zależy, żeby również potrafił czytać po ukraińsku. Córka czyta w obu językach. Cieszę się, że daje sobie radę, poznaje świat i podoba mi się, że polskie dzieci już w podstawówce dowiadują się, kto to był Mikołaj Kopernik czy Maria Skłodowska-Curie. Też bym chciała, aby w Ukrainie było więcej zdobywania wiedzy na temat naszych bohaterów, którzy zrobili dla świata coś wielkiego. Dlatego prowadzimy te czytania, aby uczyć ukraińskie dzieci ukraińskiej kultury.

Najbliższe czytanie w Willi Sixta, połączone z kreatywnymi zajęciami artystycznymi, zaplanowane jest na sobotę, 28 lipca o 15.00.

ALONA

Alona pochodzi z Połtawy - miasta we wschodniej części Ukrainy. Jest nauczycielką języka angielskiego, zna też język niemiecki. W marcu 2022 roku została ewakuowana z Ukrainy do Niemiec jako członek grupy opiekującej się dziećmi. Była to ósemka dzieci żołnierzy - matek i ojców, którzy nie mogli i do dziś nie mogą wyjechać z kraju. Na ich prośbę ich dzieci ewakuowano. Najmłodsze miało trzy latka. Z Aloną wyjechali też jej córka i syn, którzy mają teraz 16 i 18 lat. - Pociągiem ewakuacyjnym wyjechaliśmy z Aleksandrii do Lwowa i przez Polskę do Niemiec, bo właśnie w Niemczech znaleziono rodziny, które zdecydowały się przyjąć te dzieci. Nie ma słów, którymi można by wyrazić wdzięczność i szacunek dla tych ludzi - opowiada Alona. - Gdy jechaliśmy przez Kijów, było akurat bombardowanie i w pociągu nie było światła. Panował też niesamowity ścisk. A moja córka miała wtedy złamaną nogę, chodziła z gipsem i o kulach. Pasażerowie musieli niejednokrotnie zostawiać we Lwowie czy Kijowie swoje zwierzęta, które chcieli ze sobą wziąć, bo trzeba było zrobić w pociągu miejsce dla dosiadających się ludzi. To były decyzje typu: albo bierzesz swojego psa, albo zmieści się jeszcze matka z dzieckiem.

W Niemczech Alona mieszkała przez rok, w tej samej wiosce co rodziny, które przygarnęły ewakuowane dzieci wojskowych. Ale trudno było jej tam znaleźć pracę, zwłaszcza że potwierdzenie dyplomu w Niemczech jest bardzo skomplikowane. Przez jakiś czas była tam wykładowcą języka niemieckiego dla Ukraińców. Kiedy zaczęła szukać pracy, okazało się, że łatwiej będzie ją znaleźć w Polsce, bo Alona posiada certyfikaty międzynarodowe, które Polska uznaje, a które uprawniają ją do nauczania języka angielskiego obcokrajowców na całym świecie. - Złożyłam CV, dostałam propozycję i przyjechałam do Polski. Jestem wdzięczna Polsce, że mogę tu pracować, opłacać rachunki, normalnie żyć i być po prostu członkiem społeczeństwa, a nie uchodzącą - mówi.

Jej syn uczył się najpierw w Czechach, teraz studiuje na Słowacji (chce zostać psychologiem), a córka mieszka z Aloną w Bielsku-Białej i ostatnio bardzo dobrze zdała egzamin ósmoklasisty.

Alona uczęszcza obecnie na kurs języka polskiego, ale na naukę ma niewiele czasu. Po pierwsze, pracuje w języku angielskim, a po drugie, skupiła się ostatnio na uzyskiwaniu Master's Degree (dyplomu magistra) z Cambridge College. - Zaczęłam realizować ten kurs jeszcze przed wojną. Podczas pobytu w Niemczech zrobiłam przerwę, ale teraz chciałam to już sfinalizować - mówi.

Podkreśla, że ze strony Polaków otrzymuje dużo wsparcia i nigdy nie spotkała się osobiście z jakimiś przejawami niechęci. Hejt zna tylko z internetu, z anonimowych komentarzy na portalach. Koleżanki i koledzy z pracy podpowiadają jej różne rzeczy i są bardzo pomocni, podobnie jak osoby, od których wynajmuje mieszkanie. - Nieswojo czułam się w Polsce tylko podczas protestu rolników, bo nie za bardzo wiedziałam, o co chodzi - mówi. Nie jest jednak zbyt zintegrowana z lokalną społecznością, głównie z tego względu, że nie zna jeszcze dobrze języka polskiego. Natomiast jej córka bardzo dobrze czuje się wśród rówieśników w szkole i nie ma poczucia, że jest tam kimś obcym albo kimś kto potrzebuje specjalnych względów.

Jedyną rzeczą, której Alonie w Polsce brakuje, jest... prawo jazdy i samochód. Ponieważ przyjechała tutaj do pracy z Niemiec, nie ma statusu ochronnego UKR, który ułatwia na przykład założenie działalności gospodarczej. Jest w trakcie załatwiania formalności, nie ma jeszcze karty pobytovej ani wymienionego prawa jazdy. Czeka na decyzję i przez to nie mogła na przykład wyjechać do Ukrainy na pogrzeb dziadka.

Dwa tygodnie temu Alona dowiedziała się, że w jej dom w Połtawie uderzył pocisk. Budynek nie został na szczęście całkowicie zniszczony, ale wymaga remontu.

RUSLANA

Ruslana pochodzi z okupowanego przez Rosjan Berdiańska w obwodzie zaporoskim. Ma dwójkę dzieci - 5-letniego syna oraz córeczkę, która skończyła rok i osiem miesięcy. Do Bielska-Białej przyjechała po raz pierwszy wraz z mężem w 2016 roku, żeby zarobić pieniądze. Mieszkała tu wówczas przez trzy lata. Pracowała fizycznie w firmie z branży motoryzacyjnej. - Urodziłam w Polsce syna. Ale potem było mi ciężko, że jestem sama w domu z dzieckiem, po drugie nie czuliśmy się częścią społeczeństwa polskiego, brakowało mi też pomocy przy dziecku, na przykład ze strony mamy czy siostry. Tymczasem w Ukrainie w wyborach prezydenckich zwyciężył Wołodymyr Zełenski. Mielśmy zatem nadzieję, że w naszym kraju nastąpi rozwój i zmiana na lepsze. Wróciliśmy więc do rodzinnego miasta - opowiada Ruslana.

W Berdiańsku kupili mieszkanie i zaczęli pracę w sieci sklepów z alkoholami. Zaczęli przyuczać się też w szkole do zawodu sommelier (wyspecjalizowany kelner zajmujący się serwowaniem win). - Nie udało nam się jednak skończyć tej szkoły, bo wybuchła wojna - mówi.

Syn Ruslany obchodzi urodziny 24 lutego i z tej okazji mieli zaplanowane przyjęcie. Zaproszona była cała rodzina. - Tymczasem o piątej rano obudziły nas wybuchy rakiet. Nikt z gości do nas nie przyjechał, bo nie wiadomo było, co będzie. Tak było przez trzy dni, a 27 lutego do miasta wjechali czołgami Rosjanie. Półtora miesiąca mieszkaliśmy w okupacji. Wielu ludzi straciło pracę, ale my chodziliśmy do pracy, bo w sklepie, w którym byliśmy zatrudnieni, oprócz alkoholu było sporo jedzenia. Tymczasem gdzie indziej brakowało produktów spożywczych. U nas można też było zapłacić kartą, podczas gdy gdzie indziej były problemy z obsługą terminali. Przychodzili też do nas Rosjanie z karabinami i albo coś kupowali, albo... zabierali bez płacenia.

W mieszkaniu rodziny Ruslany było bardzo zimno, termometry wskazywały około czternastu stopni, nie było prądu. Po drugie, zorientowała się, że jest w ciąży. - Wystraszyłam się, bo w mieście nie było już lekarzy. Wielu ludzi wiedziało już bowiem wcześniej, że będzie wojna i wyjechali, zanim to wszystko się zaczęło - opowiada.

W kwietniu zdecydowali się uciekać, póki jeszcze można było. - Wyjechaliśmy moim autem, z mężem, synem, moją mamą i bratem. Musieliśmy kupować benzynę u Rosjan, za ogromne pieniądze, bo w sprzedaży nie było już paliwa - wspomina.

Berdiańsk jest miastem rosyjskojęzycznym i wielu mieszkańców sympatyzuje tam z Rosją. - Gdy właściciel sklepu kazał mi sprzedawać rosyjską wódkę, a ja nie chciałam, za karę nie dostałam wypłaty. To była jedna z sytuacji, która skłoniła nas do wyjazdu - mówi.

Wyjechali do Zaporozża i mąż od razu poszedł jako ochotnik do wojska. Walczył dwa lata. Został ranny w nogi i teraz jest niepełnosprawny. Nie ma czucia w jednej nodze i chodzi o kulach.

Do Bielska-Białej Ruslana przyjechała sama z synem. Urodziła tu córkę. - Przyjęła mnie rodzina kolegi, którego poznałam podczas naszego pierwszego pobytu w Polsce. Byli to Ukraińcy. Mieszkałam u nich około półtora miesiąca - mówi.

Potem wynajmowała mieszkanie u gospodarza, który otrzymywał na to dopłatę z programu wspierającego osoby, które zakwaterowały w swoich domach uciekinierów wojennych z Ukrainy. Wysokość świadczenia wynosiła 40 zł za osobę dziennie. - Gdy urodziłam córkę, przyjechała do nas moja mama i babcia. Pomagają mi teraz przy dzieciach - mówi.

Ponieważ mąż jest niepełnosprawny, może już wyjechać z Ukrainy. - Mam nadzieję, że do nas przyjedzie - mówi Ruslana.

Berdiańsk to bardzo znany kurort nad Morzem Azowskim. - Całe życie mieszkałam nad morzem, a w Bielsku-Białej są góry. Jest mi smutno, że już dwa lata nie widziałam mojego morza - mówi Ruslana.

NADIJA

Nadiia pochodzi ze Starobielska w obwodzie ługańskim na wschodzie Ukrainy. W 2022 roku przyjechała do Polski sama, bez kogokolwiek ze swojej rodziny, razem z obcymi ludźmi, którzy również emigrowali. Najpierw trafiła do Wrocławia. Poznała tutaj chłopaka, którego w lutym 2023 roku poślubiła. Mąż urodził się na Ukrainie, a jego matka i babcia miały polskie korzenie. Od kilku lat mieszkał we Wrocławiu, a po tym jak się tam z Nadiią poznali, przenieśli się do Bielska-Białej. Mają 10-miesięcznego synka Artura.

Jeszcze w 2014 roku, kiedy wybuchła pierwsza fala wojny, Nadiia przeniosła się ze Starobielska do Kijowa. Gdy w 2022 roku znów wybuchła wojna, nie mogła w to uwierzyć. - Najpierw, po 24 lutego, pojechałam razem z koleżanką do mniejszej wioski w Ukrainie. Potem z tej wioski z wnukiem znajomej wyjechałam do Wrocławia, gdzie mieszkali rodzice tego 15-letniego chłopaka - wspomina.

Bardzo obawiała się, że w ogarniętym wojną kraju nie będzie miała dostępu do lekarstwa, które musi stale zażywać. W pierwszych tygodniach wojny był bowiem lęk nawet o to, że nie będzie chleba.

Nadiia była w Ukrainie księgową. W Polsce początkowo pracowała w restauracji. Teraz opiekuje się małym Arturkiem, ale gdy dziecko podrośnie, chciałaby podjąć pracę.

Na początku, po przyjeździe do Polski, przez kilka miesięcy mieszkała w hostelu. - Chciałam wynająć coś za swoje oszczędności, ale nie było takiej możliwości. Teraz z mężem mieszkamy w wynajmowanym mieszkaniu - mówi.

O Grupie Wsparcia dowiedziała się z różnych wiadomości wymienianych przez osoby z Ukrainy na komunikatorach internetowych. - Gdy byłam w ciąży, nudziło mi się i przychodziłam tu na różne warsztaty, malowania czy rękodzieła. Tak dowiedziałam się, że działa tu również Grupa Wsparcia dla Kobiet z Ukrainy - opowiada.

Przez rok Nadiia nie miała kontaktu z matką, która została na okupowanych terytoriach. W ogóle kontakt z osobami, które zostały na terytoriach okupowanych przez Rosję jest trudny, bo włącza się zasięg rosyjski, a telefony są często na podsłuchu.

Nadiia z mężem chcieliby w przyszłości pracować na zachodzie Europy, zarobić tam pieniądze i kupić dom w Ukrainie. Na pytanie o to, co daje jej siłę, by stawiać czoła wszystkim przeciwnościom, odpowiada: - Po prostu chcę żyć.